

OGÓLNEGO ZBIORU NR. 28.

ŁAN MŁODZIEŻY

::: DWUTYGODNIK KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY POLSKIEJ. :::

WYCHODZI 1-GO i 15-GO KAŻDEGO MIESIĄCA Z WYJĄTKIEM LIPCA
I SIERPNI. — REDAKCYA I ADMIN.: KRAKÓW — BATOREGO 8.

Prenumerata wynosi: W Krakowie i Galicyi rocznie 5 kor., pojedynczy numer 30 hal. Z wysyłką pocztową 6 kor., pojedynczy numer 35 hal. — W Poznańskiem 6 M. pojed. numer 35 fen. — W Królestwie Polskiem i Ces. ros. 3 rs. pojed. numer 15 kop. — W Stanach Zjedn. p. Am. 1 dol. 50 cent. pojedynczy numer 10 cent. — We wszystkich innych krajach 7 franków, pojedynczy numer 40 cent.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Prof. dr Tadeusz Grabowski.

O Królu Duchu Juliusza Słowackiego.

Poemat to życia wiekowego, poemat będący jego troską nawet w chwilach przedzgonnych.

Dowodził on potęgi jego mistycyzmu, który w długim wysiłku myśli zdobył podstawę filozoficzną poematu, poczucie świadomości swego królowania w sferze ducha narodowego. Podstawa, była gotową; na niej, jak na fundamencie, wznosił się gmach poetycznej wyobraźni i cudownego wczucia się w dane wieki, gmach nieskończony, ale genialny w pomyśle i w wykonaniu. Jak w całej poezyi, opowiadał Słowacki tylko o sobie, o dawnych swych żywotach, jak ów platoński Her, o którym opowieść zamieścił na wstępie. Nic dziwnego, że podobała mu się ona tak niewymownie, skoro znajdował w niej potwierdzenie nieśmiertelności, o której marzył od swego przemienienia. Rozczytując się w Platonie, poczuł wstręt do artystów, którzy, jak wyjaśniał Sokrates, odtwarzają tylko pozory, naśladowują tylko formy, nie mają związku z duszą rzeczy, z duszą człowieka, która jest pełną sprzeczności z powodu dualizmu ludzkiej natury.

Poezja, mówił Plato, nie powinna odtwarzać cielesnej strony życia, nie powinna psuć innych naśladowaniem życia, winna chwalić rzeczy wielkie, a więc bogów i ludzi i nie zanedbywać nigdy budzenia poczucia sprawiedliwości i nieśmiertelności. Duch nie zależy od ciała i ginie tylko z cho-

roby wewnętrznej, a więc z własnej winy; duch winien szukać związków z tem, co jest boskie, nieśmiertelne i niezniszczalne, przez co wydobędzie się niby z morza, w którym obciążają go kamienie i muszle ziemskie. Platoński dyalog podniecił tylko w poecie jego dążenia, rozszerzył w nim żądze uduchowienia wewnętrznego, przez które, jak powiada Sokrates, dochodzi się do podobieństwa z Bogiem. I jego poemat miał opowiadać o tem uduchowieniu, którego nagrodą jest żywot przyszły, jak nagrodą za bohaterstwo i ofiarę Hera było odrodzenie do nowego życia. Człowiek, wedle Sokratesa winien zaniedbać wszystko, a myśleć o rzeczach wiecznych, zachować stałość i niewzruszoność w tem uczuciu, by się nie dać olśnić niczemu, a będzie szczęśliwym na ziemi i na łonie wszechbytu. Metempsychoza, która go czeka, a którą poeta idący za Platonem godził, jak wiemy, z tekstem biblijnym, poprowadzi go tylko do coraz wyższych bytów w podróży wiekowej.

Dlatego poemat zaczął się upoetyzowanym wątkiem platońskiego opowiadania o Herze, w którym dusze zmarłych wybierają byty nowe, a więc Orfeusz łabędzia, Ulisses oracza, a Her, obmywający swe rany w letejskiej wodzie, budzi się nie na stosie greckim, ale do bytu dalekiego, do łąk i puszczy, kędy wiodła go idea wieszcząca wskrzeszonemu, że otrzyma jedną smętną ranę, z której nie uleczy się nigdy. Jeden z komentatorów porównywa los Hera z Irydyonowym, co jest uwagą zupełnie trafną ¹⁾, gdyż obaj idą na ziemię naszą; ale Her wie, co go na niej czeka, wie, że uwięczy ciało mękami, jak girlandą. Zabity na chwilę odradza się gdzieś w puszczy, by pomścić zabita ojczyznę Wenedów, staje do walki w towarzystwie ducha jasnego i ciemnego, by wyobrazić niejako trójcę ulubioną mistykowi, by karmiony zemstą i zdradą urągać cichości świata i powolnemu biegowi rzeczy ludzkich. Odrodzony w Popielu przypomina tedy zupełnie uczucia syna zabitej ojczyzny, żyje w kraju podbitym, gdzie służy Lechowi za pachołka, jak przystoi skutemu w niewoli Wenedzie.

Stawszy się prawą ręką panującego, chce być wodzem i przypiąć skrzydła, jak duchy na czele wojsk latających.

¹⁾ Biblioteka warszawska z r. 1903. Tom III, zeszyt III, str. 534.

Spostrzegł tę zmianę Lech i kazał przykuć buntownika do ścian ciemnicy, gdzie Popiel posługiwał się pomocą ciemnych duchów gromady. To była pierwsza zbrodnia, choć uwięziony dał się przecież wyprowadzić duchowi jasnemu i, grożąc światu, błagał się po puszczech. Germanów przerażał okrucieństwem i dał się nawet obwołać kejzarem, grozą strasznych czynów zbierał miliony duchów koło siebie, wywarł wreszcie zemstę na ludzie Lecha, który błagał go o pokój. Zaciął się jednak w gniewie, bo żądał, by córa Lechowa przyszła w ramionach jego błagać o łaskę, doczekał się tylko widma jej we śnie i śmierci ofiary w falach Wisły. Porwała go, rzecz nieoczekiwana, rozpacz i tęsknota za zmarłą, której chciał wyprawić pogrzeb niesłychany, pochować na lodowiskach i przy blasku rubinowych wulkanów.

A sam z dzikimi rotą na urwiskach
 Dzikszy niż burze! straszniejszy niż fale,
 Gdy góry będą swoje ognie zionąć
 Mrozom się dam zgryść i ogniom pochłonać!

Obrano go królem.

Postanowił wtedy, jako opanowany ciałem i ulegającym ciemnym, niebiosa zatrwożyć zbrodniami, póki nie pokaże się Bóg blady, póki nie spadnie zemsta na zbrodniarza, który czuł swą nicłość i mordował dlatego najpierwszych w narodzie. A przecież w tym potworze przypominającym Iwana Groźnego, o którym poeta naczytał się u Karamzina, były i inne instykta, skoro po zbrodniach

Lecz co dziwniejsza, że tak próchniejący!
 Taki upadły i taki zużyty!
 Czasem się czulem, jak Anioł gorący
 Gotów ukochać świat i nieść w błękity
 Tę ziemię, jako anioł wzlatujący
 Z pieśnią... co była, jako szklanne zgrzyty
 Harmonik... i szła w ton coraz boleśniej
 Aż upadła w śmiech — w szaleństwo pieśni...

To wynik platońskiego dualizmu ludzkiej natury, o którym nie wiedział odrodzony Her. Ukochano przecież Popiela za siłę, za strach, za mękę, choć pogardził nim Bóg. Więc uniesiony szalem powziął myśl zamordowania Lechowego wodza Śwityna i jego rodziny. Nie oszczędzał nawet biednego rapsoda, któremu wbił mieczem nogę do ziemi.

Ale aniołowie złoci ostrzegli ofiarę, która katowi, jak książę Kurbski Iwanowi Groźnemu, zapowiedziała spotkanie na strasznym sądzie. Pierwszy raz uczuł Popiel swą słabość; bohaterska śmierć rapsoda rozjątrzyła go do reszty, tak, że biegł wściekły i żądny krwi na zamek Świtynowy, bluźniąc Bogu, którego istnienia zaprzeczał. Gdy ucztował tedy przy ciałach pomordowanej rodziny Śwityna, ujrzał znak, przed którym przykląkł z duchem złamanym. Dokoła się bowiem odkupienie narodu krwią, spełniło się dzieło ducha Bożego, którego pamiątka zostanie w pieśniach i w kurhanach, gdy inny przyjdzie rządzić duchami, gdy pchnięcie skrwawionego wiosła poniesie dalej łódź dziejową błędzącego wielokrotnie jeszcze ciałem narodu. Błąd bowiem Popiela polegał na daniu przewagi namiętności cielesnych nad duchowemi, które zwyciężą. Ten błąd pomścił się na nim, choć duch odzywał się w okrutniku, który czuł, że źle czyni.

Nigdy jednak żadne dzieło poety nie spotkało się z tylu sprzecznymi sądami, co ten pierwszy rapsod poematu. Jedni szukali w nim osobistego żywiołu, drudzy dopatrywali w nim historyzofii, traktując go niestety oddzielnie od innych, gdy był on tylko początkiem nieskończonego szeregu. Wyobraźnia tak genialna umiałaby niewątpliwie tworzyć rapsody po rapsodach, odbudowywać epoki za epokami, otwierać światy o horyzontach nieokreślonych, stwarzać po prostu cykl poematów, nieprzerwany łańcuch wieleń idei zasadniczej, która wystrzelała obrazami zawsze nowymi, rytmami nieskończenie suggestywnymi, postaciami, z których każda byłaby inną i zrodzoną w mózgu niewyczerpanym w odmiany. Ani żywioł osobisty, ani rozmyślanie nad dziejami nie wpłynęły tu decydująco na ukształtowanie bohatera, na pojęcie dziejów. Idea zasadnicza rapsodu da się wyprowadzić z usiłowania poety, które dążyło do odkrycia tajemniczego znaczenia mytów biblijnych.

On tego znaczenia szukał w podaniach i dziejach narodowych; tłumacząc wszystko z ducha, pragnął wyjaśnić każdy szczegół dziejów, bo z swym narodem spojony był najściślej. Popiel, choć szaleje, cierpi niewątpliwie, bo jest duchem, bo wybrał, celem zbawienia narodu środek, który jest przeciwnym jego naturze ducha. Myśl Boża rodzi się jednak czasem we krwi, jak mówił do Krasińskiego poeta,

wciela się nawet w mongolskiej dzikości chana Uzbeka, jak świadczy dawniejszy dramat. Jak Uzbek, nie ma tedy Popiel litości dla nikogo, bo idzie z siłą wewnętrzną, bo jest widocznie narzędziem kary za grzechy. Ta kara nie dosięga wprawdzie Lecha, który umarł, ale jego lud. Nie z osobistej żądzdy zemsty, nie z zamiłowania w zdradzie ani ze smutku głębokiego, który porównywano niesłusznie z byrońskim, wypływały czyny Popiela. On był tylko wcieleniem zabitej ojczyzny, która legła niegdyś pod ciosami drużyny Lechowej, on był tylko sposobem objaśnienia mytu narodowego. Jego wzoru nie można szukać w Arabie, z którym niema nie wspólnego, wyszedł on z historyzofii poety, z jego mistyki, z jego odrodzonego nastroju ducha. Nie przez występki, okrucieństwa, potworności chciał on iść ku udoskonaleniu, gdyż zbyt był wierzącym i kochającym, by polecać podobną potworność.

Wszystko przypisywał jednak sile wyższej, która niegdyś dała kształty duchom i uczyniła je widzialnymi. Her, jak owe duchy w mistycznej modlitwie, ofiarował się na śmierć dla innych i obudził w formie doskonalszej, bo w cielesności zabitego ludu północnego. I gdy miało dokonać się jego przemienienie w Popiela, ukazał mu się wid czyli Bogarodzica, która, jak cudowne widmo w obręczy z płomieni, objawiła się niegdyś nad gasnącym stosem Lelum i Polelum. Objawienie się widu wzmocniło mu duszę na nowe boje. Wehłonał w siebie niejako rozpaczny krzyk Polelum, który w obliczu śmierci rzucił Bogu gorzki wyrzut obojętności na mordy i tryumfy urągliwe tyranów. Jeżeli jest podobieństwo Popiela do której z figur poetyckich naszego romantyzmu, to do Wallenroda. Ale Popiel przerasta miarę zwykłego człowieka, streszcza Wallenroda, Uzbeka, Iwana Groźnego w swych poetycznych zarysach. Wedle Popiela, każdy wiek toczy się inną koleją, każdy wiek przynosi nowe środki, zmierzające do uduchowienia, a więc raz krew i gwałt, raz słowo i ducha, a

Między głazami dawniej czerwonymi,
 Między miesiącem i polnemi głogi,
 Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
 Po których myśli, jak sny przelatują.

Popiel ma świadomość całej moralnej nizkości zemsty, ale słucha głosu nadludzkiego, głosu fatalnego dla ducha, który każe mu się sprzymierzyć z duchami ciemnymi.

Wygląda zaś tak strasznie w tej żądzy zemsty, że nawet Lech przeczuwa w nim wroga. Nie ucisza jej więzienie, nie ucisza czyn córki Lechowej, która przyszła go uwolnić z więzienia. Odplacił złem, szedł zbrodniami, ale kupił naród krwią i podniósł ducha, który śmiercią gardzi. Ten naród pysznić się będzie, że miał Popiela za króla-ducha, który spełniał tylko wolę Bożą.

Co do mnie?... jam jest biez okropny Boży,
I będę cierpiał, co mi przeznaczono.
Za chwilę jedną otchłań się otworzy!
Piorun rozerwie moje wielkie łono!
Wściekłości... jak psy spuszczone z obroży!
Żądze... jak słońce ogniste rozploną!
Ogromne ze mnie na wiatr pójdą cienie —
Wszecmiłość zmyta w krwi — i wszeccierpienie.

Arab niszczy wszystko z zemsty osobistej, mści się za doznane zapewne zawody, niema żadnej idei. Popiel ją ma. Jest nią pogarda dla ciała, lekceważenie rzeczy ziemskich, potrzeba ofiary, gdy idzie o spełnienie myśli Bożej, gdy idzie o poddanie się Bożemu wyrokowi. Popiel jest z rzędu duchów, które ofiarowały się na śmierć w mistycznej modlitwie, jest królem-duchem, bo zahartował naród na ból tak, że dotychczas

Idzie Polska — na ból — skała...
Fala ją nieraz z drogi zniosła,
I duch jej święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne martwe... lecz com ja wycisnął
Pod krwią? tam zawsze zwyciężył, gdy błysnął.

Jej kształt pierwszy czyli Popiela opuścił duch, ale dzieło nie zginęło bynajmniej w krwawej wieków zawiei.

Popiel jest na miarę mitycznego bohatera, przewyższa Zawiszę uświadomieniem swej roli, potęgą indywidualizmu. Legenda splotła się w nim pysznie z pojęciem historyozofa, z zapalanej wizjami wyobraźni wypłynęły płomienie, które stworzyły postać nadludzką. Geniusz wysilił się na twór

pełen życia i charakteru, przewyższył nią wszystkie, które tworzył od czasów warszawskich. Wywarł tą postacią wrażenie grozy niezmiernej, dał nią dzieło, które jest w naszej poezyi tem, czem są freski Michała Anioła w malarstwie włoskiem. Bez przesady, deklamacyi, pozy osiągnął efekt, który jest jedynym u nas, który dorównywa potęgą pomysłem największych poetów świata. A język i wiersz? Jest on cudem od początku do końca, jest jednym obrazem, jedną muzyką rytmów. Wre uczuciem, olśniewa nastrojem, jest na wysokości wewnętrznego natchnienia. Obrazy gromadzą się w takiej liczbie, że zmysły z trudnością mogą przyjmować wrażenia. Myśl kryje się pod masą obrazów, odziewa w szaty zbyt może nawet bogate i kosztowne; okresy przesuwają się tak szybko, zmiany frazowania przechodzą tak nagle, że budzą uczucie męki i niepokoju. Każde słowo mówi za siebie, każda litera niejako ma moc znaczenia. Nastrój stopniuje wrażenie grozy, rozpościera jakby mgłę, która przygnębia, wywiera wrażenie czegoś co przechodzi miarę zwyczajną, a co jest samorodnem do dna pełnem namiętności, wielkości i piękna.

I wartość następnych rapsodów jest wielka, choć Popiel przerasta mistrzostwem charakterystyki znacznie Mieczysława i Bolesława Śmiałego. Nie sądzę, by żywioł osobisty był poprzednio taką podniętą w tworzeniu, że brak jego wpłynął na osłabienie natchnienia, na upadek zdolności charakteryzowania, na obniżenie piękności malarskiej rapsodów. Ten żywioł osobisty jest i w następnych rapsodach, choć postać Popiela pociągała poetę tak, że wracał do niej długo, błędził koło niej niejako wyobraźnią, uważał ją niewątpliwie za najszcześniejszy twór własnego ducha. Dowodem ustęp, który prof. Małecki nazwał drugim rapsodem, dowodem warianty, snujące się po rękopisach. Postać Popiela nie znikala, choć wypadalo raczej szukać nowych. Wracał do niego nieznużony, Popiel odpowiadał niejako jego naturze dumnej i trudnej do ugięcia. Wracał do Popiela, za którego przykładem, jak opowiadał, poszło dwunastu wojewodów, choć nie miało ani jego wzniosłej duszy, ani wielkiego serca. I dawny król-duch cierpiał tak, że cały stał się prochem i rozpaczą, choć jutrzienka nowych lat pokazywała się za chmurą. Pragnął unicestwienia, które nie

jest jednak udziałem duchów, gdy zjawili się dwaj posłańcy z ostatecznej krainy zachwyceń i zapowiedzieli mu, że wielka ma spełnić w swej ojczyźnie sprawę.



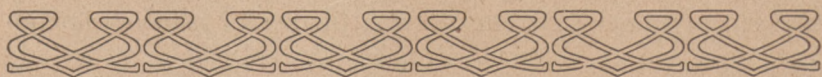
Do Matki list.

Więc pocóż płaczesz, czyliż chwile skrócisz,
patrzac na zachód, kędy moja droga,
pytajac ptaków wędrownych o wieści;
ani Ty drogi losu mej nie zwrócisz.
Przeszła niejedna godzina nam błoga;
dziś, myśl o Tobie jedyna mnie pieści.

Szarą godziną, przy jasnem ognisku
siadź, jak przed laty, robótkę weź w dłonie.
I czemuż płaczesz, biedne oczy Twoje...
Takie koleje na życia ściernisku,
stopy pokrawisz, nim wyjdiesz na błonie —
ile zaś ściernisk oddziela dusz dwoje.

Pomnij, gdyś do snu kołysała głowę,
nuąc, jak w bajce, pieśń o królewiczu,
co wyszedł zrana na krwawe turnieje...
Mnie włosy dzisiaj bieleją już płowe...
Myślisz, o Matko, o swoim dziecku,
co wróci kiedyś i troski rozwieje?

Więc pocóż płaczesz, czyliż chwile skrócisz,
patrzac na zachód, kędy moja droga,
pytajac ptaków wędrownych o wieści;
ani Ty drogi losu mej nie zwrócisz...
Przeszła niejedna godzina nam błoga,
dziś... myśl o Tobie syna Twego pieści...



Wspomnienia z Tatr.

(Dokończenie.)

Po nieprzespanej, nawpół przemarzonej, w połowie przegwarzonej nocy w leśniczkiej kolebie, wstaliśmy rzeźwi, wypoczęci, weseli. Przez szpary i otwory w ścianach wdzierały się ciekawe paski świtu i były natrętnie w oczy przyzwyczajone do ciemności. Poodsuwaliśmy zasuwę okiennic, rozwarliśmy naoścież tarcicowe drzwi; do wnętrza buchnął snop zimnego, aromatycznego powietrza.

Wybiegliśmy ciekawi pogody. Widok, jaki się przed oczyma rozpostarł nie zawiódł oczekiwań i wart był tęsknoty dłuższej, niżli jednonocnej i to tak romantycznej.

Sam spód doliny aż do połowy gór był wypełniony szarzyną przedświtu. Wyżej po spadzistej ścianie Rakonia, Wołowca i Rohaczów rozeszła się srebrzysta jasność, aż hen na dumnych, ostrych graniach Płaczliwego i Ostrego, na gotyckiej struktury koronce rozzłocila się w wązkie obrzeżenie, utkane z odbitych promieni słonecznych. Nad szczytami na niebie błyskały jeszcze tu i ówdzie ostatnie gwiazdy.

Zabraliśmy się do rąbania kosówki, bo ziąb szedł po kościach i lekki wiaterek chłodził niezgorzej.

Tymczasem słońce schowane dotąd za górami, wschodziło powoli. Oto drobne chmurki i szmat nieba rozśmiały się rumieńcem zorzy, za chwilę mieniły się w pozłocie słońca, w końcu przeszły w przejasną orgię słonecznych blasków. W dolinie budziło się radosne, młode życie. Dzień zapowiadał się niezwykle.

Franek ułożył olbrzymie ognisko, rozpalił i wkrótce śniadanie było gotowe. — Zbadaliśmy jeszcze kierunek drogi wedle mapy, zabrzmiała komenda: ruksak na plecy! — ostatnie do widzenia! — może na rok przyszły — uroczemu domkowi — i pochód w górę!

Początkowo szliśmy wzdłuż strumyka wprost ku Ro-baczom. Po drodze witały nas perlące się rosą złocienie i halne dzwonki. — Po niejakiem czasie stanęliśmy na górnej terasie doliny zuberskiej, nazwanej doliną Rohaczów. Stąd mogliśmy wybrać się na prawo do Orawskiego Morskiego Oka i dalej do stawków rohaczowych, a stamtąd na

przełącz. Zabrałoby nam to jednak więcej czasu, więc postanowiliśmy zdobyć Płaczliwego żlebkiem, który wedle wszelkich prawdopodobieństw miał nas wyprowadzić na karbik w grani Płaczliwego.

Po granitowych złomach i płytach, darliśmy się z zaciętością, aż pod spadzistą ścianę najeżoną blokami, oraz wykrotami skalnymi i świecąca miejscami jasną plamą granitu; zapewne niedawno oberwała się przewieszka, lub runął w przepaść olbrzym kamienny, pozostawiając w ścianie skrzącą się srebrnym łyszczykiem łysinę.

Wokół nas istne cmentarzysko kamieni! Ileż wieków pracowało potwornemi ramionami, by ponad Pra-Tatrami usypać nowe Tatry, niby grobowcowe pomniki dawnej wielkości!

Po modrych falach niezmiernego morza, co niegdyś zalało te obszary młodej ziemi, przyleciały na lotnych skrzydłach wichrów góry piasku i zasypały krainę dzisiejszych Tatr. A potem następowały szeregi kataklizmów, zwolna zapał ziemi ostygł, jądrna jej pierś zapadała w głąb suchotniczem tętnem, na powierzchni tworzyły się zmarszczki i piękna niegdyś ziemia zamieniała się w biegu stuleci w ponury obraz śmierci.

Dzisiaj odcyfrowujemy mozolnie historję świetności dawnej ziemi tak, jak z oczu staruszki czytamy o płonącym ongi żarze, który palił i topił, jak daleko tylko zasięgnął promieniem swych błysków. Czemże jednak są nasze obrazy?

Nie po to suwaliśmy się wówczas po usypistym żlebie, by badać tajniki zestarzałej ziemi, śnić o oceanach Tetydy i marzyć o fata morganach piaszczystej Sahary; nie odprawiliśmy pielgrzymki do grobów i cmentarzysk zamarłej przeszłości — nas gnała żądza życia, wzlot ku wyżynom po młodą myśl i zapał. Pragnęliśmy odetchnąć pełną pierśią i przeżyć kilka chwil w tej skalnej pustyni, bo w niej jednej są jeszcze swobody ołtarze, — napić się oczyma mocarnej siły bezdennych przepaści i iglic niebotycznych.

Żleb był wcale uciążliwy. Bez przerwy sypały się z pod stóp naszych całe masy piargu i zwietrzałych brył granitu i świszcząc, mąciły uroczystą ciszę doliny. Zaledwieśmy przebyli połowę żlebu i prawie drapaliśmy się na małe półko porośłe skąpą trawą, gdy wtem od strony południo-

wej zadzwonił dźwięk spadających kamiaków. Wiedziałem co to znaczy. Szybko przyłgnęliśmy do skały i zwróciliśmy zwrok w kierunku głosu. Po stoku zwału górskiego, zamykającego dolinę Rohaczów od południa szło 5 kozic i małe koźlą. Wstrzymałem oddech, by nie przestraszyć czujnej zwierzyny, ręką nerwowo drżącą szukałem broni wkoło siebie, wzrokiem ugrzązłem w czarniawych, ruchliwych punktach. Franek wyciągnął szyję jak żóraw i sapał krótko, mierząc z ciupagi do wypatrzonych kóz. One nas jednak dostrzegły, czy raczej dosłyszały podejrzany szmer tocących się gdzieś u spodu doliny kamieni, bo ruszyły z nagłą galopem, przystając co pewien okres czasu i oglądając się trwożnie na wszystkie strony. Huknęliśmy we dwójkę, ale to wcale nie przyspieszyło ich tempa, owszem stanęły na czas dłuższy i popatrzyły na nas, jakby chciały rzec: »strachy na lachy; wiemy, że idziecie bez strzelb!« Zwróciły się następnie w górę i biegły lekkim trucheikiem, by wnet zniknąć z widnokregu.

Do przełączki dobiliśmy w niespełna pół godziny. Odpocząwszy krótko, ruszyliśmy granią na szczyt Płaczliwego, rozkoszując się widokiem jednym z bardzo oryginalnych w Tatrach. Same Rohacze urwiste, poszarpane, należące składem skał i wyglądem do Tatr wschodnich, imponują wrażeniem i tworzą jakby skalistą wyspę wśród łagodnie pogiętych grzbietów Tatr zachodnich. W dole po lewej ręce czai się czeluść doliny rohackiej, po prawej rozciąga się dolina jamnicka, ścieląc dywanem kwiecica i traw całe zbocze Płaczliwego aż pod sam prawie szczyt.

Wejście po zarosłym płacie stoku, kędy się pasły konie i krowy, podchodząc do znacznej wysokości, było naturalnie bardzo łatwe, lecz nas nie nęciło, ponieważ trawa dała się nam dosyć we znaki. Wybraliśmy więc grań i postanowiliśmy iść ściśle samym grzbietem, a gdyby się to okazało niemożliwym, raczej spuścić się w stronę doliny rohaczowej, aniżeli piąć się po trawie. W ten sposób, — z małymi wyjątkami — zdobyliśmy szczyt Rohacza Płaczliwego, a w półtorej godziny później spoczywaliśmy już na Oстрыm, gdzie w radosnem upojeniu syciliśmy młode dusze górskim pięknem, co zakłęte w tęczowe barwy stawów jamnickich, w malachitowe oczy jeziorok rohaczowych i w błękity oraw-

skiego morskiego oka, lub dumające na czołach czubów górskich, w kotlisku przepastnem i w dalekich głębinach nieba, rozolbrzymiało nas i tworzyło pełną harmonię z naszym jestestwem. Do wspomnień należały trudne miejsca na Rohaczu Oстрыm jak płyta ze skąpem pęknięciem, chyląca się tuż nad przepaścią prawieże prostopadle — za chwil kilka mieliśmy zamknąć w księdze wspomnień Rohacze, podniosłe marzenia i owe dni pełne swobody.

Jan Humpola



W posepnej, szarej mgle...

W posepnej, szarej mgle,
czy dusze jakie kwilą?...
Pod wiatrem drzewa się
rozpacznie gną i chylą...

A tam znów, niby krew
kroplami na dół spada...
To liście lecą z drzew,
to zwiędły liść opada...

Świat cały, niby sen
posepny i złowrogi,
zwidzenia duszę hen — —
na jakieś wiodą drogi...

I duszę, skoro dal
zamgloną zoczy, mętłą —
owłada ból i żal
i jest bezmiernie smętą...

Stanisław Łosik.



Z teatru.

W przedmowie do swojej *Judyty* wygłasza Hebbel pokrótce swoje poglądy na zadanie dramatu historycznego. Żąda, aby poeta nie zajmował się tylko dokładnym przedstawieniem wypadku i epoki, ale raczej rozświetlił »labirynt, w którym i nasza stopa zablądzićby mogła«. *Nervus rei* wydaleść, pokazać go i przebieg całego zdarzenia z pewnego punktu oświetlić, oto cel autora. To też w *Judycie* swojej pragnie on obojętny mu zresztą sam przez się fakt, że przed laty jakaś chytra kobieta ścięła głowę bohatera, »przedstawić obrazowo« i wykazać »w związku z wielkim procesem, toczącym się między pleciami, różnice między prawdziwym, żywiołowym działaniem, a takim, które jest tylko wyzywaniem samego siebie«.

Żywiołowy czyn reprezentuje naturalnie *Judyta* sama.

Aby jednak czyn tak straszny, jak zabicie wodza nieprzyjacielskiego w jego własnym namiocie, mógł być żywiołowym, t. j. odpowiadać naturze kobiety, musiała ta natura jej być niezwykłą, posiadać w sobie zarodki bohaterstwa. Stąd też pochodzi w *Judycie* hebbłowskiej cały szereg jej tylko wśród kobiet właściwych cech. Stąd pochodzi dążność do wielkości, umiłowanie bohaterstwa, żądza gigantycznej walki i zwycięstwa, zabijająca »piękność wilczej jahody«, odwaga do rzeczy potwornych nawet, wszystkie własności, dzięki którym przestaje być chwilami dla mężczyzny piękną. Gdyby jednak była inną nie zdobyłaby się na zabicie *Holofernesa*, na udanie się między wrogów, gdzie jej pełno groziło niebezpieczeństw, na ofiarę ze swej czystości w zamian za czyn spełniony, za uratowanie współbraci. Zdolność do spełnienia czynu jest jednak u *Judyty* zwiększona jeszcze w chwili decydującej przez nienawiść, jaką czuje ona do *Holofernesa*, przez chęć zemsty za sporniewieranie czci kobiecej. Nie popełnić zamierzonego czynu nie może, zemścić się musi. Chęć zemsty osobistej bierze wreszcie górę nad wszystkimi innymi pobudkami i staje się w chwili czynu pobudką jedyną. Tragedyą *Judyty* jest, że ona tego człowieka — i właśnie tego jedyne — kochaćby mogła — i chciała. W nim jest, co może podbić jej naturę: siła, bohaterskość, moc. »Chwila jeszcze, a uklęknę przed

nim, mówi Judyta i dlatego musi go zabić — zaraz, natychmiast — bo nie zdoła tego uczynić za minutę, za moment. Wyzywaniem samego siebie w przeciwieństwie do czynu Judyty jest czyn Effraima. Effraim, starający się o rękę nadobnej bohaterki, zostaje pobudzony jej szyderstwem, podniosłą mową, wreszcie rozpaczliwą decyzją udania się do obozu Assyryjczyków, do wykonania czynu, którego od niego żądała, czynu przewyższającego wreszcie jego naturę, przed którym się wzdryga i lęka. Wielki ten czyn popełnia podle. Przyprawiony przez straż przed Holofernesa uzyskuje sobie zapewnienie życia i dopiero wtedy usiłuje go zamordować, co mu się naturalnie nie udaje. To jest parabola, jaką przeprowadza autor w dramacie. Z drugiej strony znajduje tam swój przykład także zjawisko, z którym się często w życiu spotykamy. Między wytworem naszej wyobraźni, płodem naszych marzeń, a realnem, twarde m życiem zachodzi straszna, niezglębiona różnica. Doznaje tego na sobie osobiście Judyta. Innym wydaje się jej czyn w jej marzeniach i myślach, innym jest on w strasznej chwili spełnienia go. Tam ofiarowywała życie i więcej niż życie, bo niepokalaność dziewiczą, narodowi, tu zabijała tylko, aby się zemścić, stąd czyn jej stracił wszelką zasługę, z bohaterstwa stał się zbrodnią.

Przeprowadzenie psychologiczne tych dwóch problemów, jest w dramacie niezwykle piękne i potężne. Sama postać Judyty przeraża chwilami swoją mocą, stanowczością, bezwzględnością. Holofernes pociąga najsilniej, jeżeli możnaby powiedzieć, że Judyta najsilniej — odpycha. To jest mąż. Żelazna ręka, głowa myśląca i hart, nadewszystko hart stalowy. Indywidualność — zapewne więcej XX wieczna, niż przedhistoryczna, tylko zrobiona tak, iż można w nią uwierzyć. Pewien niewolnik skarżył mi się, że piecze, gdy m go położyć kazał na rozpalonym ruszcie. Nie wiesz jak boli, wołał. Za całą odpowiedź położyłem się obok niego. Naprawdę stronica cała nie scharakteryzowałaby go lepiej, niż ten czyn. Bo właśnie on cały jest w czynie. Sztuki bezwątpienia wysłuchać warto. Gra w krakowskim teatrze była świetna, strona reżyserska może czasami zbyt jaskrawa — nawet jak na Wschód! — Wystawienie Hebbła pozostanie w każdym razie zasługą Dyrekeyi.

Nowe książki.

Bolesław Prus: „Dzieci“. Warszawa 1909.

Takby się het gnało, gnało,
Takby nam się serce śmiało,
Do ogromnych, wielkich rzeczy...

(Wyspiański.)

Nieco ironiczny tytuł, bo właściwie bohaterzy tej powieści już nie są dziećmi, chociaż nimi być powinni. Przystajemy być dziećmi w chwili stanowczego zetknięcia się ze światem, w chwili, gdy zetknięcie to znaczy się w duszy naszej ciemnem pasmem pesymizmu. Pesymizm, to koniec dzieciństwa — a początek — już nie młodości, ale jeszcze nie wieku dojrzałego. Bo są ludzie, co się dwa razy rodzą; zjawisko to najczęściej zdarza się w narodach, znajdujących się w wyjątkowem położeniu, na których ciąży jakaś bolesna Ananke. Ludzie ci umierają z chwilą zstąpienia na ziemię, potem zaczyna się okres niejako przejściowy, który nazwałbym okresem walki. Wiek ten szuka dróg — z chwilą, gdy je znajdzie — nie wchodzimy w to, czy są one istotne, czy też przypadkowe, dość, że są — zaczyna się wiek męski. Ale droga ta, podobnie jak wszystko, co jest prawdziwe na świecie, jest nieskończona, dlatego też zmęczeni drogą krzyżową życia ludzie szukają ławki przydrożnej i czekają śmierci. Niektórzy, mający dobre oczy, patrzą wstecz, na drogę przebytą, i karmią się okruciami życia, zwiędłymi listkami wspomnień, inni już oczy w wędrowce wypłakali. Czekają oni śmierci, bo śmierć ulga, ulga Zgon. Są też i tacy, którzy umarli raz, ale nie zdolni się na drugi raz narodzić — zmęczeni szukaniem, siadają na ławce przeddrożnej. Ludzie, co się raz tylko urodzili, nie znają okresu walki i przechodzą wprost do dojrzałości męskiej.

* * *

Za wcześnie umieramy, za wczas się kończy dzieciństwo nasze — a im wcześniejsza śmierć, tem dłuższy okres walki, tem mniejsza zdolność do zmartwychwstania. Mamy co prawda tę pociechę — rzadką dzisiaj — żeśmy żyli pełnią życia duchowego, niekrępowani i nietamowani przez nikogo, że lot nasz był lotem orła, co nie zna granic i cieśni

ziemskich. Jestto — królewskość ducha, ale też giniemy, jak orły, strzaskane przez piorun lub o granitowe skały życia.

Walka rozpaczliwa człowieka takiego, istoty różnej od świata, ze światem, jest treścią bytu poetów i pesymistów. Chwile tej walki, to prometeizm dziejów ludzkości, chwile natchnień, bohaterstwa i mocy, najpiękniejsze z całego życia ziemskiego, całą grozą cierpienia i siły, która się w cierpieniu rodzi.

„Dzieci” przeżywają właśnie te tytaniczne chwile.

* * *

Nie trudno poznać, że autor, pisząc powieść niniejszą, miał na celu zwrócić uwagę społeczeństwa na młodzież. Młodzież dojrzewa za prędko, to prawda. Za prędko spotyka się z Życiem, za prędko Życiu ulega, za prędko ginie. To protest przeciwko wszechmocnej i zgubnej sile Życia, przeciwko podłości, nizkości i materjalizmowi.

Widzimy w powieści rozpaczliwe zapasy Idei z materjalizmem. Widzimy, jak w grono szlachetnej młodzieży, tworzących związek Rycerzy Wolności, wciskają się postacie prowokatorów; widzimy, jak z czasem związek ten przeistacza się w bandę rozbójników, straszących całą okolicę. Wszystko to przesuwa się przed nami, chaotycznie i prędko. Książkę odkładamy z uczuciem niezmiernego smutku.

„Ach, kiedyż wykujem, strudzeni oracze,
Lemiesze z pałaszy skrwawionych?
Ach, kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze,
Prócz rosy łąk naszych zielonych?”

* * *

My młodzi, powinniśmy stać daleko od Życia. Myśmy powinni stać zdala od tego, co poniża i upadla człowieka. Dlatego też coraz częściej słyhać okrzyk: Młodzieży, precz od Życia!

Natomiast powinniśmy stworzyć Nowe Życie, w myśl słów Słowackiego, że wszystko dla Ducha i przez Ducha, nic dla cielesnego celu nie istnieje. I tak też żyć winniśmy.

* * *

A więc nie ulegać życiu i nie kłaniać się Złotemu Cielcowi, ale wyjść poza Życie i rządzić niem — w imię nieskończonej, bezkresnej i nieśmiertelnej Wszechwładzy Ducha.

Młodości, uwierz w sny czyste i złote,
Co ponad formy przelatują stare,
A masz broń pewną na świata ciemnotę,
Masz we snach swoich już stworzoną wiarę.

(Słowacki.)

Jan Bystrzeński.

Nulla dies sine linea.

Najdłuższy dzień ma swój wieczór, najtwardsza robota swój koniec, a najostrzejszy ból — uśmierzenie i spoczynek.

O. Faber.

Zostaw Bogu drogę otwartą zawierz Mu, a On — dokona.

Jeśli się nam nie wiedzie, powinniśmy zawsze dochodzić naprzód o ile my sami temu jesteśmy przyczyną. Potem dopiero badajmy zewnętrzne okoliczności.

Obyś miała tę żywą wiarę, że siła z prawdziwego źródła idąca wszystko zwalczy. Wtenczas i samabyś poczuła życie łatwiejsze i drugimbyś go ułatwiła.

Mickiewicz w liście do p. Łubieńskiej.

Każdą biedę tak rozważyć, jak interes i postanowić z góry w jaki sposób postąpić się ma. W każdym podobnym zdarzeniu, dowodem zwycięstwa twojego, będzie, jeśli poczujesz się spokojną w duszy, a nawet wesołą.

Mickiewicz w liście do p. Wodpol.

Kiedyś zrobił, jak przystało,
Nie płacz, że się nie udało.

Gdzie rzeka najgłębsza, tam najciszej płynie.

Koncert Józefa Hofmana.

Może zdziwi niejednego, że Łan młodzieży zamieszcza sprawozdanie z koncertów, choć zwykle tego nie czyni. Na taki możliwy zarzut odpowiedzieć łatwo: Łanowi młodzieży nie chodzi o podawanie czysto informacyjnego materiału ze sali koncertowej, któryby mógł służyć za temat salonowej rozmowy; szczegółowy rozbiór programu z uwzględnieniem wykonania, rekordów lub usterek technicznych i zdobytego przez artystę sukcesu, a wreszcie horoskopy na przyszłość znaleźć można w każdym dzienniku nazajróż po koncercie, — Łan młodzieży stara się zamieszczać sprawozdania z koncertów, które powinny zająć nietylko muzykalną młodzież, ale jej najszczerze warstwy.

Do takich właśnie należy koncert Józefa Hofmana z d. 18. b. m.; Zwykle przed wielkimi występami rozechodzi się fama o młodości lub wogóle przeszłości artysty, podniecając niecierpliwość publiczności przed jego ukazaniem się; fakt ten szczególnie wybitnie wystąpił w omawianym wypadku; imię Hofmana związane jest bowiem z Krakowem od najwcześniejszej młodości. Z Krakowa rodem znany był jeszcze kilkoletni chłopiec jako wunderkind — Józio; wielki talent byłby jak zwykle padł ofiarą maniery, gdyby go z tego niebezpieczeństwa nie był wyratował pewien amerykański mecenas sztuki, który przyjął młodego Hofmana na kilkoletnie wychowanie pod warunkiem absolutnego unikania estrady. Wyleczony z wunderkindostwa, odbył Hofman gruntowne studia muzyczne, wśród których Rubinstein nazначył go na swego następcę (Rubinstein uważany jest dotąd w historii muzyki za największego pianistę) i przybrał swój niezwykły talent w klasyczną, skończoną formę. Obecnie ma lat 33 i jest znany w całym świecie, jako zrównoważony ideał pianisty, stawiany przez wielu na bezwzględnie pierwszym miejscu. Koncert poniedziałkowy wykazał dowodnie, że gra Hofmana jest najwyższym punktem do jakiego jest w stanie wznieść się człowiek w opanowaniu techniki fortepianowej i wydobyciu z utworu muzycznego całej poezji i wyrazu. I to właśnie stanowi wielkość tego artysty, że wolny od pozy, czaruje szczerem uczuciem, a gotów zagubić poszczególne efekty koloraturowe dla wyśpiewania motywów, stoi jednak w całym wykonaniu na najwyższym poziomie techniki fortepianowej. Program koncertu pod innym nazwiskiem byłby niezajmujący, bo składał się w pierwszej części z samych klasycznych dzieł Beethowena, Webera, Schumanna i Chopina. Trzeba na to geniusza, żeby utworami mającymi z wyłączeniem Chopina historyczną wartość nietylko nie znudzić słuchacza, ale odkryć mu całą głębię i potęgę piękna muzyki klasycznej; trzeba przyznać, że wykonanie jej przechodzi napewno intencję autorów.

Szczególnie może nie na miejscu musiało się wydać umieszczenie *Perpetuum mobile* Webera w programie koncertowym, rzecz ta bowiem znana jest adeptom wyższych kursów fortepianu, jako trudne i pożyteczne ale niesłychanie monotonne ćwiczenie dla palców prawej ręki. I na tym punkcie zrobił Hofman publiczności wielką niespodziankę wznosząc *Perpetuum mobile* na poziom zgrabnego i wspaniałego

brzmiącego obrazka muzycznego nie koniecznie może poetycznego ale w każdym razie miłe sprawiającego wrażenie. Z Chopina grał Hofman 3 utwory, z pomiędzy których polones es-dur dzwonił i brzmiał pełną falą tonów, przypominając raz janczarską orkiestrę, to znów brabanckie koronki w miejscach koloraturowych, wykonanych delikatnie i subtelnie przy najwyższej sprawności. W drugiej części wykonał Hofman kilka własnych szkiców charakterystycznych i przypomniał słuchaczom, że jako kompozytor, który w 33 latach doszedł już poza 60 opus, pomijanym być nie może.

Ilość kawałków bisowych (6 na 7 punktów programu) i ich rodzaj może dopełnić obrazu entuzjazmu, jaki nieprzerwanie trwał do końca; niektórzy zapaleni wielbiciele wielkiego artysty urządzili mu jeszcze przed domem życzliwie przyjętą owacyę. W G.

Z Czasopism.

Straż polska.

Październikowy numer Straży Polskiej otwiera pełen zapału wiersz K. Glińskiego, artykuł dra Kazimierza Lubeckiego p. t. Słońce miłości ojczyzny, Listy ze Śląska A. Bystronia o stosunkach tam panujących, artykuł Na złodzieju czapka gore (opisuje ciągle intrygi Prusaków), wiersz Słowackiemu napisany przez Ferdynanda Kurasza, chłopca z nad Wisły. Z powodu Dumy o Hetmanie J. Żeromskiego, Węgierska sympatya i t. d. Ile tysięcy a może nawet setek tysięcy marek, głosy te przez swą akcyę bojkotową Prusakom wydarły, o tem nawet nie trzeba wspominać. Z. M.

Architekt i my. Wrześniowy numer Architekta w artykule p. Jerzego Warchałowskiego o Popieraniu sztuk pięknych (str. 162) podaje rady, do których Lan Młodzieży stósował się stale, uznając potrzebę powoływania młodzieży na każde pole kultury fizycznej, przemysłowej, artystycznej itd. Na początek rozstał nasz Lan poetów, malarzy, filozofów do warsztatów, trzebieży lasów; dał i daje tym i tamtym sposobność zwiedzenia muzeów: Narodowego, Czapskich i domu Matejki, bezpłatnie i po niższej cenie do 10 hal. wstępu (nawet przy pojedynczem zwiedzaniu). Niechże więc sankcya takiego pisma jak Architekt i takiego znawcy stosunków narodowych, jak pan Jerzy Warchałowski, upewni nas co do trafności drogi przez nas obranej.

Oto odnośny ustęp.

Obecne wykształcenie ogólne, polega głównie na ćwiczeniu pamięci, na przewadze kierunku umiętnego, literackiego; stąd — przecenianie wiedzy nabytej, niedoceniianie zdolności.

Reforma sięgnąć winna do początków szkoły średniej. Już od 10-go, 11-go roku życia, zamiast wyłącznie ćwiczyć pamięć, należy rozwijać: chwytność umysłu, czułość oka, sprawność rąk i wogóle kulturę fizyczną. To umożliwi już za młodu ujawnienie się naturalnych skłon-

ności wychowanka, a następnie właściwy wybór zawodu, przez co zaoszczędzi się dużo narodowych sił.

Stąd podział szkoły średniej na niższe i wyższe oddziały. Niższe ogólne, budzić będą naturalne skłonności, podług których uczniowie przechodzić będą następnie do jednego z czterech wyższych oddziałów szkoły średniej, przygotowując się w ten sposób do szkół wyższych, specjalnych.

Ta decentralizacja ma więc tę zaletę, że uczeń szybciej dochodzi do możliwości zarobkowania, a trudności wyboru zawodu maleją znacznie. Ograniczanie nauk pamięciowych i rozwijanie zdolności twórczych i indywidualnych uwolni państwo od zarzutu stwarzania sił, którym potem nie może dać odpowiedniego zajęcia.

Młodzież i jubileusz Słowackiego.

Przedstawienie w teatrze miejskim dla młodzieży (Kordyan).

Oryginalne przedstawienie: wszędzie mundury i mundury; ale co najoryginalniejsze, to to, że wstępy za darmo. Przypominają się marzenia tych utopistów, którzy chcieliby wielką sztukę popularyzować, uprzystępnić szerokim masom. Należy się uznanie komitetowi jubileuszowemu Słowackiego, za przedsięwzięcie; artystom teatru miejskiego, za to, że nie grali jak za darmo. Nastrój był uroczysty pomimo, że niektórzy koledzy na widok jasnych barw pierwszego piętra, nie zwracali należytej uwagi na scenę.

Uczczenie Juliusza Słowackiego przez młodzież szkół średnich w Krakowie 22. października odbyło się o godz. 8 rano nabożeństwo w kościele N. P. Maryi, odprawione przez ks. Siudę, katechetę gimn. III. w rocznicę urodzin J. Słowackiego. W nabożeństwie wzięli udział: inspektor szkolny Stefanowicz, dyrektorzy krakowskich gimn. wraz z gronami profesorskimi oraz młodzież ze sztandarami. Po nabożeństwie udała się młodzież w pochodzie do swoich zakładów naukowych, gdzie odbyły się poranki na cześć Wieszcza.

Po ukończeniu poranków zebraliśmy się w drużynach z odznakami swoich pułków przed kościołem św. Anny, gdzie złożyliśmy wieńce na tablicy pamiątkowej Juliusza Słowackiego. Cała uroczystość miała nader poważny przebieg, świadczący o pietyzmie młodzieży dla Wieszcza.

Z. M.

Ze sportu.

W Cracovii weszło już w zwyczaj, że, ilekroć rozegra się match jakiś, którego przebieg i wynik może jej przynieść zaszczyt, zawsze nabiera zbytnej dufności w siebie i w następnej grze gra znacznie słabiej.

Tak było na matchu z Wisłą, gdzie zwycięskiej z Bielskiem Cracovii wprost poznać nie można było. Tak się rzecz miała i na za-

wodach między Cracovią a Czarnymi ze Lwowa (I. L. K. P. N.) w dniu 17 X. Klub ten grał w tym roku dwa razy i po dwakroć poniósł klęskę (5:0, 4:3). Nie przedstawiał tedy dla Cracovii, która nie dała się pobić Koszycom, wielkiego niebezpieczeństwa; to też Krakowiacy zlekka go sobie lekceważyli. Pokazało się to zaraz przy pierwszych rzutach, które nie wiele miały ze znanej nam dobrze metody gry czerwono-białych. Kombinowali oni rzadko i niewiele, gra szła powolnym tempem, co zaś najgorsze, że stale można było zauważyć w drużynie krakowskiej wyczekiwanie na piłkę, miast podążenia za nią, spuszczenie się na swoich partnerów i t. p. Że zaś mimo to do połowy gry wyszła Cracovia zwycięsko w stosunku 3:1, jest to tylko dowodem ogromnej jej nad drużyną lwowską przewagi. W czasie pauzy zażądali Czarni unieważnienia ostatniej bramki, jako zrobionej w ostatnich minutach przed przerwą, która wskutek winy sędziego, albo raczej jego zegarka nastąpiła o kwadrans później, niż należało. Czerwono-biali nie chcieli protestu uznać słusznym, gdy jednak Lwowiacy bezczelnie poczęli udowadniać nieprawidłowość drugiej bramki, ustąpili ich śmiesznym żądaniom i darowali im 2 bramki, spodziewając się i tak pobić drużynę, uciekającą się aż do niehonorowych wybiegów. Czy to jednak zbyt podniecenie, czy też zacięta a tłumna obrona przeciwników, którzy ograniczyli się tylko na defenzywie, nie pozwoliły im wyzyskać przewagi; dość, że choć trzymali piłkę prawie przez cały czas gry pod bramką Czarnych, nie zdołali jednak zrobić ani jednego punktu. Match tedy zakończył się oficjalnie nierozegraną (1:1), moralnem jednak zwycięstwem Cracovii.

* * *

Dyana contra Cracovia (24 X). Dyana z Katowic była już w Krakowie znaną z matchu z zeszłej jesieni, na którym reprezentatywna drużyna krakowska (7 graczy Cracovii, 5 Wisły) pobiła ją w stosunku 3:1. Dyana grała naogół dosyć marnie, posiadała tylko niezwykle dobrego bramkarza, który ją swoją grą od większej klęski obronił. W ciągu roku, jaki upłynął między obu matchami, musiała Dyana dużo zyskać na wprawie, skoro zdobyła sobie mistrzostwo Śląska. To też spodziewano się zajmującej gry i zwycięstwa Cracovii po ciężkiej walce. Tymczasem okazało się, że mistrze śląscy, chociaż w istocie dużo zyskali na wprawie, nie mogą ani myśleć o porządnej walce z Cracovią, zwłaszcza gdy im brakło pożyczonego z Berlina bramkarza. Cracovia, choć zdekompletowana (dwóch graczy nieobecnych zastąpili członkowie Rudawy) dała sobie doskonale radę i co więcej, odniosła zwycięstwo w nie widzianym jeszcze w Krakowie stopniu. Od samego początku gry dała się widzieć ogromna przewaga Krakowiaków; po pewnym czasie poczęli więc oni lekceważyć sobie przeciwnika, wynikiem czego było, że Dyana zrobiła im bramkę. W parę jednak minut powetowali oni klęskę i odtąd raz po raz atakowali nieprzyjaciół, w czem kilkakroć szczęśliwie tak, że do pauzy stała gra w stosunku 6:1 na korzyść Cracovii. Odtąd bronić się po-

czeli Ślązacy o wiele gorliwiej, wskutek czego zrobiono im już tylko dwie bramki.

Odniosła Cracovia zatem olbrzymie zwycięstwo w stosunku 8:1.

Match z Dyana pod jednym względem odbijał od poprzednich. Nie było mianowicie tylu kłótni i protestów, co przy grze z Koszycami, a szczególnie z Czarnymi. Niemcy ślászcy umieli uszanować powagę i zdanie sędziego, na którego rozjemstwo się zgodzili. Zdaje się, że nie jest to dowodem niższej kultury.



Pielęgnowanie zębów.

Zęby w cudownej oprawie ust, są nadzwyczaj czule na dotknięcie zimnego lub ciepłego powietrza. Ulegają zupełnie wpływowi klimatycznemu.

Wydają się mieć postać kostną; są jednak utworzone z zębiny i emalii, to jest z tkanek, należących do rodzaju wytworów udoskonalonych; są więc zupełnie różne od tkanek kościstych, które należą niejako do rodzaju budowlanego w organizmie człowieka.

Ta właściwość jest przyczyną wyczulenia i wrażliwości zębów.

Czy to są przednie, czy trzonowe zęby, składa się każdy z nich z części, zwanej korzeniem i innej, zwanej koroną.

Korzeń i część korony są wydrążone wklęsłością, która się otwiera wgłębieniem u szczytu każdego korzenia.

To wydrążenie zawiera ciało miękkie, bogato unerwione i w naczynia krwionośne obfite, zwane miąższem lub cebulką.

Korona składa się głównie z dwu ciał: zewnętrzną, twardszą, błyszczącą, okrywa drugie jakby korą: jestto emalia; wewnętrzną, dawniejszą kość zębowa, dzisiaj zębina, która stanowi w znacznej części budowę korzenia.

Pokrywa emalii kończy się u nasady zęba; potem miejsce jej zajmuje substancja, nie różniąca się anatomicznie od kości.

U dorosłego człowieka wynosi ilość zębów 32, po 16 u każdej szczęki. Cztery przednie, zwane siekaczami, mają korzeń prosty. Po nich o takimże korzeniu, idą kły; następnie

trzonowe; ostatni z nich nazywa się zębem mądrości, ponieważ najpóźniej wyrasta. Proszę darować te szczegóły zbyt fachowe i nudne, są jednak wielkiej wagi, jeżeli chodzi o pielęgnowanie zębów.

Niebezpieczeństwo wykluwaczy metalowych.

Najpierwszą wskazówką, jakiej dostarcza budowa zębów, to jest, by nie dotykać ich śpilkami, lub innymi narzędziami stalowymi, nawet, gdy jakieś obce ciało dostanie się między szpary; emalia, w ten sposób pokłuta, zaczyna się natychmiast nadwierać, a w ten sposób odkryta zębina, daje bolesny dla siebie przystęp zimnu, ciepłu i pokarmom.

Wykluwacze z piórka najlepszą oddają usługę, jeżeli kto chce wyjąć cząstki jedzenia lub ciała twarde z pomiędzy zębów.

Drewniane wykluwacze łamią się i ustępują miejsca poprzednim, pod względem dobroci.

Oczywiście, że złote, srebrne i kościane wykluwacze, powinny być całkiem z użycia wycofane.

Zachowanie zębów.

Aby zachować zęby, ten prawdziwy skarb zdrowia i piękności, należy dotykać ich jak najmniej, nawet twardą szczotką.

Gdy tylko spostrzeżemy lekką zmianę w emalii, lub jakiegokolwiek, by najmniejsze lecz niezwykle zadrażnienie, bez wachania trzeba spytać o radę zdolnego i sumiennego dentystry. Wielu cierpień można sobie w ten sposób oszczędzić.

Nie oddalając się od ogólnych zasad wyżej wskazanych, podamy kilka najłatwiejszych i najzdrowszych środków dla zachowania piękności i mocy zębów, zarówno jak i świeżości oddechu.

Czyszczenie zębów powinno się odbywać dwa razy dziennie; rano wstając i wieczór, kładąc się spać.

Zabieg ranny.

Co rano trzeba miękki ręcznik, nasycony w rogu wodą z trochę proszku do zębów przesunąć kilka razy zewnątrz i wewnątrz zębów lekko naciskając, a trąc żywo. Proszek

do zębów może zastąpić mydło. Polecają osobne mydło dla higieny zębów, zawierające menthol, boran chlorowy, sodę i eukalyptus.

Po skończonem czyszczeniu zębów powyższym sposobem, trzeba wypłukać usta i zęby wodą, którą sobie każdy Czytelnik i każda Czytelniczka może sama sporządzić według jednej z niżej podanych recept:

wziąć czystego spirytusu	100	gramów
Ekstraktu eukalyptusowego	15	"
Kwasu benzoesowego	3	gramy
Thymolu	0.25	centigr.
Essencji Winter-Green	XXV.	kropki

Do innego płukania, wchodzi jako składnik menthol, czyli kamfora pochodząca z wyciągu japońskiej mięty.

Skład tej wody do ust jest następujący:

Mentholu	2	gramy
Spirytusu 90%	100	gramów
Wysokoku eukalyptusowego	XX	kropki.

Wstrząsnąć i przefiltrować.

Kilka kropli wystarczy do oczyszczenia ust szczotką, ręcznikiem, po użyciu proszku lub mydła, także do płukania gardła.

To czyszczenie zębów i jamy ustnej, byłoby jednak niezupełne, gdyby po niem nie nastąpiło przepłukanie otworów nosa i przewodów, które sięgają głębi podniebienia.

Czyszczenie przewodów nosowych.

Trzeba nalać w zagłębienie dłoni letniej wody, z kilku kroplami higienicznego płukania i wciągnąć silnie nozdrzami, tak, aby płyn przedostał się do gardła.

Ten zabieg powtórzony 6 razy jeden po drugim, doskonale wyczyszcza usta dosięgając przewodu nosowego. Przedewszystkiem doskonale oddaje usługi śpiewakom, kaznodziejom, nauczycielstwu, artystom, mówcom, artystkom i mówczyniom.

TREŚĆ NRU 17: 1 O Królu Duchu Juliusza Słowackiego. Prof. dr Tadeusz Grabowski. — 2. Do Matki list. — 3. Wspomnienia z Tatr. Jan Humpola. — 4. W posępnej, szarej mgle. Stanisław Łosik. — 5. Z Teatru. — 6. Nowe książki. Jan Bystron. — 7. Nulla dies sine linea. — 8. Koncert Józefa Hofmana. W. G. — 9. Z czasopism. — 10. Młodzież i jubileusz Słowackiego. Z. M. — 11. Ze sportu. — 12. Pielęgnowanie zębów.

Odpowiedzialni redaktorowie i wydawcy: Dr Tadeusz Grabowski i Marya Piechocka.

Z drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.